Ner 21. Kraków, 27go Maja. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

POTĘGA NIEWIASTY.

(List Ks. Wojciecha z M.....)

(Zob. Nr 8, 9, 18 i 19).

Wianem niewiasty najpiękniejszem i nigdy niewiędniejącem jest serce zacne, a ozdobą tego wiana jest uroda. Mężczyzny znowu główną zaletą jest siła, rozum, charakter. To są potęgi boskie, któremi celują ludzie. Niewiasta urodą swoją pociąga do siebie jak wiośniany fiołek w ogrodzie, a sercem świeci w rodzinie, jak słońce na niebie. Niech braknie słońca, a w co się zamieni świat? Niech braknie niewiastom serca zacnego, a co będzie z rodziny i narodu? Gdyby bowiem mężczyźni utracili swoje piętno boskie na sobie, tj. siłę, rozum i charakter, ale niewiasty zostały niewiastami zacnemi, to wtedy byłby wprawdzie nieporządek, ale zostałaby nadzieja, że niewiasty zacne wychowają nowe pokolenie i będzie porządek znowu. Ale gdy niewiasty zstępują z pola potęgi swej i wchodzą na pole mężczyzny, albo wyradzają się na lalki woskowe, wtedy żal patrzeć na rodziny i narody, wtedy ruina rodowa niedaleka. Nie myślę tu dowodzić tej prawdy w zastósowaniu do narodów, bo to rzecz zanadto jasna, ale myślę zwrócić uwagę szanownych Polek na jednę rzecz, która w polskim narodzie dotąd istnieje z małemi wyjątkami.

Stawiam pytanie: Na co dziś uważają rodziny w zawieraniu małżeństw? I odpowiem na to.

Gdzie w narodzie potęga mężczyzny i niewiasty spruchniała, gdzie nie ma czem mężczyzna i niewiasta zwrócić uwagi świata na siebie, tam dzieje się wszystko sztucznie, pożyczonym sposobem. Gdzie Bóg daje życie stworzeniom, tam to życie musi się czemś na zewnątrz objawić, a jeśli się nie objawia po woli Bożej, to musi żyć po światowemu.

U nas przy zawieraniu najważniejszego aktu żywota t. j. małżeństwa, oglądają się li za groszem. Jest to upadek mężczyzny i niewiasty! Wina leży w złych obyczajach, w zepsutym duchu czasu, w owych systematach filozoficznych, które postawiły za podstawę szczęścia człowieka chleb, i używanie tego chleba, a które z zachodu przyszły do nas, razem z modą, zbytkiem i innemi grzechami. Mężczyźni Polacy winni tu, bo zniewieścieli widać, tak że przy zawieraniu związków małżeńskich, nie patrzą już ani na ich rozum, charakter, ani na siłę, która dana na to, aby sobie wyrobić stanowisko niezależne od nikogo. Niewiasty zaś zawiniły także, że mężczyzn nie przyciągają sercem ku sobie, ale zimnym kruszcem posagu. Bóg karze, gdy mężczyzna przestaje być tem, czem być powinien. Jeżeli nie jest mężczyzna boskim, to staje się prostym towarem, albo niedołężnym i godnym pośmiewiska. I niewiastę karze Bóg, jeżeli nie jest niewiastą boską, bo wtedy staje się ona narzędziem prostem do zajęcia miejsca w rodzinie, którą trzeba sprzedać na balu, weselu albo za granicą obcym kupcom i spekulantom.

Mężczyzna bez głowy, bez siły i charakteru, bez chęci do pracy, musi szukać podstawy życia innej, t. j. grosza. Bo skoro jego wychowanie zostało skrzywione, skoro w nim nie ma nic męzkiego prócz odzienia lub nazwy i imienia, skoro stał się, że tak powiem, piórkiem kruchem, lalką i niewieściuchem, oczywiście musi szukać podstawy życia tylko w groszu gotowym! Skoro mężczyzna lubi tylko włóczyć się po świecie, i wycierać włoskie, germańskie, francuskie itp. kąty, skoro mu wieś ojcowska jest brudnym kątem, powietrze ojczyste śmierdzącem, woda studzienna brudną, słoną lub gorzką, łoże w domu za twarde, sąsiedzi za nudni i prostacy, a lud wiejski motłochem, wtedy trudno szukać innego życia oprócz majątku i grosiwa gotowego.

Ale jest też w tem wina matek i ich córeczek! Błędne bowiem wychowanie wyucza różnych modnych wybryków i muszek, ukrytych gdzieś pod ładnem czołem, bo panie dziś nie wymagają po mężu rozumu, charakteru, siły do pracy i t. d., bo to dziś podrzędna rzecz. Dosyć dla mężczyzny aby miał głowę gładką, wyczesaną, naperfumowaną, aby umiał ładnie tańczyć, parlować, a za temi świecidłami aby miał majątek gotowy.

Otóż więc widzimy, że mężczyźni i niewiasty stoją nie na swem właściwem polu. Każde dziewczę wie to dobrze, że pójdzie prędko za mąż, gdy odziedziczy albo nazbiera grosiwa i połyśnie dziwacznie i rażąco powierzchownością, a bez tych ozdóbek zmarnuje się w kąciku. I niech się szanowne czytelniczki raczą zastanowić dobrze, a przyznają mi to, że chętka pięcia się do góry niższych rodzin, i zbytek ich pochodzi ztąd, że każda chciałaby za najmajętniejszego wydać córeczkę swoją, i dla tego, jeżeli nie ma widocznego majątku, to świeci sztucznie zbytkiem, aby zwrócić uwagę na siebie. I jakiżto wstyd dla każdej Polki zacnej, jeżli bierze za męża takiego, który nie ma nauki, rozumu, siły, ani wyrobionego charakteru, albo wygląda jak pyszny olbrzym z karła duszą, i nie świeci więcej niczem, tylko połyskiem złota i rodem swych pradziadów! Jakżto zniewaga dla mężczyzny Polaka, jeśli wybiera sobie żonę, która błyszczy świecidłami jak robaczek świętojański, a pod tą politurą niema tam ani serca, ani nic boskiego! Prędzej wybaczę mężczyźnie, który sobie bierze żonę dla wdzięków i urody, choćby nie miała wysokiego wychowania, bo mąż ma być głową i kierownikiem. Kto może więcej, może i mniej, — on może zaradzić wszystkiemu jako głowa domu; ale nigdy nie wybaczę Polce zacnej, która sobie bierze męża bez uwagi na jego głowę, naukę, rozum i charakter, a pyta się tylko o ród, majątek itd. Wtedy też wyradza

się stosunek śmieszny i niedołężny podług tej zasady, i kobieta może z natury swej daleko mniej od męża, a więc nie podoła być matką, żoną i głową domu. Choć tu mogą być wyjątki, że czasem żona zastąpić potrafi męża, to przyznam się, że jeśli taki wyjątek jest przypadkowem szczęściem dla rodziny, to zostanie zawsze śmiesznym tak dla męża jak dla żony jego. Nieszczęście to u nas, że matki emancypowane wyemancypowały i córeczki, i pozwalają im robić wybór wedle swego upodobania. Pochwalam tę swobodę i wolność dziewicy w wyborze męża, ale tylko wtedy, kiedy mężczyzna i niewiasta są prawdziwie mężczyzną i niewiastą, i nie ma na nich nic sztucznego ani obcego.

(C. d. n.)

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Urządziwszy się i uspokoiwszy w domu, oraz szczęśliwie ostatnie nieprzyjaciół swych wybuchy przytłumiwszy, zabrał się Jagiełło na początku następnego roku, do najważniejszego aktu królowania swego, aktu na wieki w dziejach naszych chlubnie jaśniejącego, a będącego jedynie skutkiem poświęcenia się dobrej naszej królowej Jadwigi. Aktem tym był chrzest pogańskiej Litwy.

„Niezliczonym senatorów i szlachty polskiej orszakiem okryty społecznie z królową jedzie Jagiełło do Litwy. Towarzyszą mu najwyżsi dostojnicy kościelni, na czele których jedzie sam arcybiskup gnieźnieński z wielą innych kapłanów i ludzi nabożnych. Jadą z nim także Ziemowit i Janusz mazowieccy książęta, i Konrad Oleśnicki. W Wilnie zjechała się cała niemal rodzina królewska. Więc Skirgiełło trocki, Witołd grodniński, Włodzimierz kijowski, a Korybut nowogrodzki, książęta. Zjechała się prócz tego do Wilna „nieprzejrzana tłuszcza pospólstwa i szlachty litewskiej.“ Najprzód odbył się sejm powitalny, na którym o mającej nastąpić uczystości radzono. Duchowni polscy mówili z głębokiem uczuciem o wzniosłości prawdziwej nauki chrześciańskiej, i o zasłudze tych, którzy ją między niewiernemi rozszerzają. Mówili o nawróceniu pogan do prawdziwego Boga, i o „wyniszczeniu bałwanów i wszelkich zabobonów pogańskich.“ Więc radzono o tem „jako najpilniej za największym w tej mierze pracowaniem króla, który nierzkąc [1]) napominał, prosił, podarkami zniewalał, ale też nauki kapłanów naszych, w języku litewskim nie biegłych, pogaństwu tłumaczył, gdyż sam w mowę ruską dobrze będąc wprawiony, snadnie mówiące Polaki rozumiał.“ Nie łatwo jednak było polskiemu duchowieństwu nawracać zaślepione tłuszcze pogańskie. Upór i zastarzała nieugiętość w bałwochwalczej wierze Litwinów, nie ustąpiła od razu światłu prawdziwej nauki Chrystusa.

Wielki też trud i wielki bardzo mozół miało duchowieństwo polskie, z lękającym się ich krzyża, ludem litewskim. Dopiero gdy za rozkazem królewskim ich ogień święty zalano, bożnice i przybytek onego ognia rozwalono, a kaplice, z których poganie od kapłanów swych kłamliwe proroctwa brali, z gruntu w Wilnie powywracano, do tego gdy gadziny pobito, i ich święte gaje krom najmniejszej urazy, nad mniemanie pogańskie wyrębowano, dopiero Litwa płoche głupstwo swoje

[1]) Nietylko.

uznawszy, „już się smaczniej do wiary panów swoich zachęciwała, a tak za kilka dni, przez usiłowanie pobożne króla cnotliwego, i żadnej się prace nie wzbraniającego, fundament wiary chrześciańskiej pacierz i z wyznaniem wiary pojąwszy, zaraz chrzest święty obrzędem prawowiernych przyjęła“ [1]). „W oka mgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym, każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się.“ Nie małe także i z tego powodu zachodziły trudności, że nieliczne, na takie mnóstwo nowochrzczeńców, duchowieństwo polskie, poradzić sobie nie mogło. Niepodobieństwem też było chrzcić każdego z osobna, i dla tego co przedniejszym ludziom zupełny chrzest wyrządzano, pospólstwo zasię wszystko w gromady rozdzieliwszy, i odłączywszy, tylko wodą święconą księża kropili i jedno imie każdej z osobna obojej płci gromadzie nadawali. Wielką z tej tam tłuszcze gromadę, nawiezionym z sobą król dostatkiem z Polski wełnianych sukien i obówia szewskiego przyodział, ponieważ naród tamten aż do czasu onego robić tych rzeczy nie umiał, lecz tylko przywoźnych, i to stan co znaczniejszy używał.“

Na podziękowanie Panu Bogu za pomyślne dokonane dzieło Jego Imieniu poświęcone, wystawiono też w Wilnie kościół, „bogatymi dochodami i kapłaństwy spanoszono i na pamiątkę Stanisława ś. przez Bodzantę arcybiskupa poświęcono, tamże zaraz biskupem Jędrzeja Ważylę Polaka z domu Jastrzębców, zakonnika Franciszkanów, a spowiednika królowej Helżbiety najpierwej postanowiono.“ Nadto król sam założył siedm innych kościołów, osadzając przy nich księży polskich, i bogato je uposażając. Jadwiga łzami radości modląc się Bogu, i za takie święte plony swego uczynku, serdeczne składając Mu dzięki, do tych wszystkich, nowo wyfundowanych kościołów bogate ze swej szkatuły posprawiała sprzęty. Pobożna ta pani czuła się najszczęśliwszą z ludzi, widząc że przez nią głównie tyle się chwały Bogu przysporzyło.

Dalsze nawracanie Litwy, nad którego szczegółami rozpisywać się tu nie możemy, szło jak najpomyślniej, gdyż Bóg błogosławił wiernym swym robotnikom w winnicy swojej. Szczęśliwa i wychwalająca Boga w Jego cudownych sprawach Jadwiga, powróciła wkrótce do Krakowa, zkąd znowu do ważnej gotować się musiała wyprawy.

(C. d. n.)

Summy Neapolitańskie.

Królowa Bona umarła — a wpływ jej nieszczęsny zapuścił korzenie w późne jeszcze wieki, jeżeli oprócz demoralizacyi państwa, weźmiemy na uwagę następstwa ze zniewieściało, umyślnie tak prowadzonego wychowania Zygmunta Augusta, a mianowicie niecne Bony intrygi w pożyciu małżeńskiem dwóch jego pierwszych żon. Z jednej i drugiej nie miał Zygmunt August potomstwa; do pierwszej uczuł niechęć z podburzania matki, z drugą żył nader krótko i nieszczęśliwie, bo ukochanej nad koronę małżonce zatruła życie taż sama kobieta, która synowi powinna była być już samem prawem przyrodzonem, aniołem opiekuńczym. Trzecią żonę, na prośbę konającej Barbary pojąwszy, nie czuł się jednak szczęśliwym,— aż wreszcie mutnym wynikiem nieuporządkowanego potem życia, noszącego jakby cechę gorzkiej i bolesnej ironii, i umyślnego samobójstwa, była bezpotomność ostatniego z rodu Ja-

[1]) Kromer.

giellów. Dalsze następstwa wygaśnięcia Jagiellonów nie tutaj należą; my chcemy tylko pokrótce opowiedzieć tu o wpływie materyalnym, szkodzie materyalnej, jaką ta Włoszka koronie polskiej wyrządziła. Niezmierne jak na owe czasy skarby, jakie z polskiej ziemi wyssała, według jednych historyków testamentem [1]) zapisała Papagodzie nikczemnemu faworytowi, z którym nawet zaślubioną być miała potajemnie [2]); według drugich, pogodziwszy się na kilka miesięcy przed śmiercią z Zygmuntem Augustem, temuż i jego następcom; gdyż miała nawet wracać do Polski, posławszy w tym celu do Wenecyanów po okręty, które ją ze skarbami przewieźć miały. Nie rozstrzygając tutaj wszystkich tych szczegółów, niezawodną jest rzeczą, że summy te neapolitańskiemi (bajecznemi) zwane, wielki uszczerbek Rzeczypospolitej polskiej przyniosły, o co się też ta nieustannie aż do ostatnich czasów dopominać nie omieszkała.

Zwą się zaś one neapolitańskiemi ztąd, iż rzeczpospolita polska miała prawo do pewnych summ, które na królestwo neapolitańskie były wystawione. Królowa Bona albowiem, żona Zygmunta Igo króla polskiego, a córka Jana Galeacyusza Sforzyi, księcia medyolańskiego — po śmierci męża swego w r. 1556 do Włoch powróciwszy z ogromnemi summami, i osiadłszy w Barze, (gdzie w roku następnym umarła, 1557 lub 1558) pożyczyła królowi hiszpańskiemu, a zarazem neapolitańskiemu, summę 430,000 dukatów neapolitańskich. Roczną prowizyą w ilości 44,400 dukatów miał król hiszpański wypłacać, a to z funduszów myta z miasta Foggia.

To był właściwie faktyczny dopiero początek pretensyj Polski do tych summ, prawny zaczyna się dopiero od Zygmunta IIIgo. Nie wchodząc tutaj w autentyczność ostatniego rozporządzenia Bony, już i tak prawnemi dziedzicami kapitału i prowizyj były jej dzieci, to jest Zygmunt August i jego cztery siostry, z których jednakże przy wstąpieniu na tron polski Zygmunta III, króla szwedzkiego zarazem, jedna tylko, to jest Anna Jagiellonka, żona śp. Stefana Batorego, została. Zygmunt III jako z matki wnuk królowej Bony, zostawszy współdziedzicem długu sum neapolitańskich, przyrzekł w *pactach conventach*, (są to umowy między królem i stanami przed oznajmieniem jeszcze króla uczynione, mocą których król i stany do czegoś się obowiązują), że części i praw nań do tych summ przypadających, koronie polskiej i wielkiemu księstwu litewskiemu odstępuje. I to jest data prawna, jak się rzekło, pretensyj korony polskiej. Zygmunt III zaś przyrzeczenie to swoje jeszcze aktem z r. 1558 zatwierdził, zlewając dobra, summy i prowizye neapolitańskie z części swojej na Rzeczpospolitą, i nic z tego potomstwu swemu nie zachowując. Po śmierci Anny Jagiellonki swej ciotki, część jej, jemu jako krewnemu przypadającą, sobie przywłaszczył, ale z owych przyobiecanych summ nic Rzeczypospolita korzyści nie miała, gdyż król sam na siebie prowizyą pobierał. Tu zaczynają się już gmatwaniny z prowizyą ze strony wielu pretendentów, jak również i z pretensyami do samego kapitału, których powodem był sam Zygmunt III, bo w r. 1626 podzielił summy neapolitańskie między syna swego z pierwszego małżeństwa Władysława (IV), a drugą żonę Konstancyą, tak, iż każda strona po 22,200 dukatów pobierała wraz z prawem przelania summy tej na swych następców. Część Konstancyi przeszła w r. 1632 na synów i córkę; synowie jednak odstąpili jej na rzecz siostry, tak iżby ta z niej przez całe życie korzystała. Tej ich siostry Anny Katarzyny mąż Filip Wilhelm, książę Palatyn neoburgski, znowu dla siebie i dalszego potomstwa ową część przywłaszczył, choć jak się rzekło, miała ona być pobierana tylko przez bieg życia Anny Katarzyny. Część zaś na Władysława przypadającą, tenże po wstąpieniu na tron dla siebie zachował, chociaż równie jak ojciec przyrzekł w paktach względem tego na sejmie koronacyjnym się naradzić. Po śmierci jego i wstąpieniu na tron brata Jana Kazimierza, Rzeczpospolita równie bezskutecznie ziszczenia się obietnic oczekiwała. Jan Kazimierz przyrzekł w paktach, tak jak jego poprzednicy, ale nic nie uczynił.

Co więcej: po zrzeczeniu się korony w r. 1668, rzeczpospolita niezapominająca swojej należności, pozwoliła jemu samemu wprawdzie prowizyą dożywotnie pobierać, ale wyraźnie zakazała wszelkiej z jego strony darowizny, czy to za życia, czy testamentem, czy innego jakiegobądź ustąpienia komu innemu; co jeszcze zaostrzyła prośbą do cesarza, aby tenże pobudził króla hiszpańskiego do nieuznania podobnych króla darowizn. Pomimo tego, Jan Kazimierz Annę Gonzagę, siostrę żony swojej a żonę Edwarda księcia Palatyna, dziedziczką zrobił, wprzód już córkę jej Annę, żonę księcia Henryka Kondeusza, za córkę przysposobiwszy. Ta też po śmierci jego w r. 1672, zwłaszcza że jej matka dobrowolnie ustąpiła, z tego tytułu summ neapolitańskich się domagała, chociaż Michał Korybut książę Wiśniowiecki siedział na tronie polskim i słuszniejszym prawem w imieniu Rzeczypospolitej tychże się domagał. Dopominano się także teraz i ze strony Krystyny, królowy szwedzkiej, jako krewnej jakiejś, i nawet ze strony samego króla hiszpańskiego, tak iż do tego doszło, że gdy się spory o kapitał toczyły, skarb neapolitański tymczasem wypłatę prowizyj zawiesił.

Uważmy teraz część Anny, żony Kondeusza. Ta za panowania Filipa Burbona, który według testamentu Karola II na królestwo hiszpańskie, i z niem połączone królestwa, nastąpił, otrzymała prowizyą, którą jej znów przestano płacić, gdy królestwo neapolitańskie pod panowanie rakuskie przeszło.

Spotykamy później, bo w r. 1725 ślady, wtedy gdy równocześnie i Rzeczpospolita się o to starała, że książę Kondeusz potrafił sobie u neapolitańskiego skarbu nakaz wyrobić, aby trybunał sprawę obu stron przejrzawszy, wyrok stanowczy orzekł, tymczasem zaś książę wraz z bratem i siostrami swemi, tudzież z dwiema ich ciotkami mieli rocznie 11,428 dukatów pobierać, jednakże to z szczególnej łaski cesarza, i z zastrzeżeniem aby to było bez ubliżenia prawom Rzpltej. Korona bowiem ciągle się dopominała z prawem swojem; jednak lub sami jej królowie, lub inni pretendenci stawali na przeszkodzie, i ztąd też po śmierci króla Michała, stany króla hiszpańskiego prosiły, aby nieodwłocznie kapitał wraz z prowizyą wypłacił. Tę prośbę powtarzano ciągle za następnych królów, za króla Jana w r. 1680, 1686 i 1695. Do wyż rzeczonego Filipa Burbona wysłany był w poselstwie w r. 1713 Krzysztof Szembek, wówczas biskup inflantski, późniejszy prymas, ażeby do tego rzeczy przywiódł, iż dopókiby całego kapitału (tylko jednej Polsce prawnie się należącego) nie wydobył, przynajmniej prowizye regularnie Rzeczpospolita odbierała. I w tym to czasie, gdy jakeśmy wyżej rzekli, książę Kondeusz swoją sprawę sobie wyrobił, cesarz na prośby posła polskiego, skarbowi neapolitańskiemu o całym sporze i prawie kazał sobie zdać sprawę, ale nic w niej nie postanowił.

[1]) W monografii historycznej Bony, mającej wkrótce ukazać się w druku, jest o tem obszerniejsza wzmianka przy opisie zgonu Bony.

[2]) Dictionaire historique p. Moreri.

Znów więc rzeczpospolita w r. 1728, podczas gdy Kondeusz pobierał część prowizyj, a trybunał wyroku nie dawał, nalegała z swojemi prawami na cesarza, który grzecznie jak wprzódy rozstrzygnąć sprawę polecił, lecz się na niczem skończyło. Udano się więc znów do niego w r. 1732. Zaraz też cesarz komisarza nadzwyczajnego mianował, ale przez śmierć wówczas Augusta II w Polsce, i przez wynikłe ztąd zmiany, rzecz całą znów na kołku zawieszono. Stany jednakże państwa ani w bezkrólewiu, ani później o summach neapolitańskich nie zapominały, prosząc naprzykład w konfederacyi z roku 1733 już wzmiankowanego Szembeka, (w tym roku już prymasa), aby przez miłość ojczyzny, starania w tej sprawie łożył. Polecono nawet tę sprawę do paktów przyszłemu królowi, i August III w tychże przyrzekł dokładać u dworu austryackiego starania, aby Rzeczpospolita kapitał cały i prowizye odebrała. Zaczęto się też o to starać za jego panowania u dworu Karola VI, któremu wówczas królestwo Neapolu podlegało, gdy jednak później przeszło ono na Burbonów, a mianowicie później jeszcze podział Polski i inne zmiany nastąpiły, utraciliśmy więc ten kapitał, który summami neapolitańskiemi zowiemy, a którego wartość do 500,000 dukatów neapolitańskich liczono, a więc odpowiednio wartości dzisiejszych 10 milionów tejże monety.

Kapitału tak wielkiego strata, przeszła aże w przysłowie; to jednak wspomnienie tysiąckroć smutniejsze, żeśmy zawsze byli pokrzywdzani, a głównie *żeśmy się dali pokrzywdzać.* E. L.

SEN.

Słońce wstało, ja za słońcem
Szedłem ścieżką — pachły kwiaty,
Rosa drżała, w tem naprzeciw
Wybiegła dziewczynka z chaty.

W gorseciku, z warkoczami,
Wczesnym rankiem tak samiutka,
Cicha, a z błękitnem oczkiem:
Była jakby niezabudka.

Co tu robić? łatwo spłoszyć,
A ja chciałbym przy niej zostać;
Więc zlitował się Pan Jezus
I skowronka dał mi postać.

Szła dzieweczka, rwała kwiatki,
Co je całowało słonko,
A ja na skrzydełkach, lekko
Usiadłem jej na ramionko.

Odegnała mię bławatkiem,
Lecz skowronek się w dzieweczce
Tej zakochał, i cichutko
Znów jej usiadł na główeczce.

Zadąsana cisła kwiatki,
Pobiegła i znikła w chatce;
A jam zbudził się, i ciągle
Myślę o tej sennej gadce.

Myślę, jak to tylko we śnie
Można bawić się w skowronka;
I żal, żal mi tej dziewczynki,
Kwiatków tych, i tego słonka.

A. S.

OBYCZAJE STAROPOLSKIE.

(Zobacz Nr 2, 3 6, i 15).

IV.

Wielkanoc — Śmigust — Rękawka.

W wielką sobotę z rana dzwony uderzają *Gloria*, a lud tłumnie grób Chrystusa nawiedzający utwierdza się w proroctwie Ukrzyżowanego, i oczekuje Jego Zmartwychwstania. Jakaż radość, jakież wesele nareszcie, gdy śpiew kapłana zwiastuje chwilę szczęścia ludzkości, chwilę odrodzenia ducha i dopełnienia ofiary! *Resurrexit — sicut dixit!* (Zmartwychwstał, jako przepowiedział). Alleluja! Alleluja! brzmi po wszystkich świątyniach Pańskich — a milczący przez dni żałoby organ wesołą zagrał pieśń na chórze, i z nim powtarzają wszyscy pobożni Chrześcianie z całego serca wołając: Alleluja! Alleluja!

Wesoły nam dzień dziś nastał,
W którym Chrystus Pan Zmartwychwstał.
Alleluja!

Dawnemi czasy uroczystość *Rezurekcyi* odbywała się w nocy z soboty na niedzielę; dziś jednakże obyczaj ten rzadko gdzie zachowanym bywa, lecz Rezurekcyą odprawiają z rana wielkanocnej niedzieli.

Z wesołą tą uroczystością kościelną, łączy się bardzo wiele obyczajów z starodawnych czasów do dziś dnia przechowanych, a nam Polakom wyłącznie właściwych, bo ze szczególniejszej naszej pobożności pochodzących. Żadnego narodu obyczaje nie łączą się tak ściśle z kościołem, jak nasze. Nigdzie tak serdecznie i tak ochoczo nie obchodzą świąt wielkanocnych jak w Polsce. Odpowiada to najprzód religijnemu duchowi narodu, i powtóre niezwykłej jego i słynnej w całym świecie gościnności. Nigdzie też takiego nie obchodzą święconego jak u nas, nigdzie z tym obrządkiem nie łączy się tyle miejscowych zwyczajów i podań, święcie tradycyą narodową z dawien dawna przechowanych. O tych zwyczajach powiemy tu słów kilka. Więc najprzód samo „Święcone." Jak najdawniejsze opisy święconego w Polsce poświadczają, charakter tego obrządku dochował się niemal w zupełności do dziś dnia. Jedyna może tylko różnica i odmiana polegałaby na tem, że dziś rzadko gdzie z takim przepychem i bogactwem urządzają święcone jak dawniej. Lecz ta różnica łatwo się dzisiejszemi stosunkami tłómaczy. Mimo to jednak: jajko święcone, (którego znaczenie ks. W. Serwatowski w Nrze 18m *Niewiasty* wyjaśnił), szynka, kiełbasa i jaki taki kołacz i w najuboższej chacie musi być poświęconym koniecznie.

Kapłan ubrany w komżę i stułę w towarzystwie kościelnego i chłopca zazwyczaj małego, niosącego za nim wodę święconą i kropidło, wchodzi do każdego domu (w mieście) błogosławiąc zastawione na stole potrawy i najpierw święci chleb, mięso, jaja, ocet i oliwę, przyczem stósowną do rytuału kościelnego odmawia modlitwę. Błogosławi to wszystko święconą wodą, udzielając nią także błogosławieństwa domowi całemu i jego mieszkańcom. Święcenie odbywa się w sobotę wieczór, lub też czasem i w niedzielę rano. Na stole, na którym *święcone* zastawiono, widzisz prócz wspomnianych mięs, ciast itp. przedmiotów, na środku baranka wielkanocnego z masła lub z cukru, a wszystko to ubrane w zielone gałązki bukszpanu, o rozwijającej się wiośnie świadczące. Baranek przypomina Paschę starego zakonu, którego Chrystus nie obalał lecz uzupełnił. Dlatego też do wielkanocnego baranka u Izraelitów przybył na naszych stołach krzyż z chorągiewką tryumfu naszej wiary. Stojąco zajadamy święcone, bo i żydzi baranka wielkanocnego na wychodzie z Egiptu, stojąco z pospiechu zajadali. Obrządek pożywania święconego znajomy powszechnie, a od wielkiejnocy przez cały prawie tydzień trwający, nie wymaga po nas szczegółowego opisu; pamiętni na naszą staropolską gościnność, wiemy że z wielką serdecznością się odprawia, że nań zapraszać nie trzeba, i że wzajemne a liczne odwiedzania się po domach przypomina wesołe roznoszenie przez apostołów i uczniów Chrystusa wieści o zmartwychwstaniu swego mistrza.

Ukazanie się Zbawiciela w miasteczku *Emaus*, obchodzimy licznem gromadzeniem się w miejsce za miastem oddalone i nabożeństwem w pobliskim jakim kościołku. W Krakowie na *Emaus* chodzimy na Zwierzyniec, zwiedzając przy tem górę ś. Bronisławy i najpiękniejszy w całej Polsce pomnik: kopiec Kościuszki, dziś ufortyfikowany, mogący być zwiedzanym za pozwoleniem władzy.

Zmartwychwstanie Pańskie przypada po pierwszej pełni następującej po przesileniu dnia z nocą wiosennem. Dawniej, a mianowicie w pierwszych wiekach chrześciaństwa musiał dzień Wielkanocy wedle przypuszczeń niektórych badaczy, przypadać na dzień pierwszego kwietnia, który po łacinie zwie się: *prima Aprilis*. Żydzi obawiający się w dniu tym spełnienia przepowiedni Chrystusa, śmiejąc się i szydząc, najgrawali się z uczniów Jego, wołając: dzień pierwszego kwietnia, to ma być waszem zbawieniem. W wojsku zaś głosili fałsz o Zmartwychwstaniu, t. j. zwodzili wszystkich kłamstwem swej niewiary. Ztąd też Zmartwychwstaniem Chrystusa tłómaczą niektórzy zwyczaj na pierwszy kwietnia przypadający, powszechnie: *Prima Aprilis* zwany. Obyczaj ten polega na wesołej zabawie zwodzenia w niewinnej myśli i na śmiechu i uciesze chwilowej. Ten też charakter zabawy nie bardzo przypuszczonemu jej początkowi odpowiada. Polega ona na niewinnem kłamstwie, z którego, w błąd wprowadzony, wraz z tym, który zwodził, serdecznie się uśmieją. Zwodzący pisze np. list pod czyją adresą, a odbierający go i płacący ma się rozumieć *porto*, zwiedzionym bywa przez to, że w tym liście nie było nic, oprócz słów:

Prima aprilis!
Nie patrz, bo się omylisz...

Pisywano też wierszyki w takich listach pełne humoru i wesołości. Posiadając zaś taki jeden list *zwodzący* z dawnych czasów przytaczamy tu z niego parę wierszy:

Kuryer polski jedzie,
Wiezie torbę śmiechu,
A kto kogo zwiedzie,
Niema za to grzechu itd.

Przy święconem wielkanocnem, do którego, jakeśmy rzekli wyżej, koniecznie należała gałązka zielona bukszpanu, miewa początek gra, dawniej także zwana w Polsce pod nazwą: „w zielone.“ W starych pamiętnikach z 18go wieku takie o tej grze napotkaliśmy relacyą: „W zielone grywały osoby młode, upodobanie ku sobie mające, pospolicie chłopiec i dziewczyna. Wesoła imościanka wziąwszy ze święconej baby gałązkę bukszpanu, zbliżała się do młodego pana szlachcica i rzekła mu: „Niechże wasze to schowa, a pokaże mi, gdy zechcę, gramy w zielone: jak wasze przegra, to powie mi dykteryjkę, a gdy ja... — tu zaczerwieniwszy się ucinała, bo jawna była rzecz, że chodziło o całusa. Młody pan szlachcic skłonił się szarmancko jejmość pannie, i schowawszy gałązkę, przyjął zakład — a potem umawiali się o czas. Ten trwał do zielonych świątek zazwyczaj. Przegraną zasie bywały całusy albo kary jakie, przy innych grach na fanty wyznaczane, albo cukierki, albo też inne jakie bagatele i figielki.“

Obyczaj ten trwa jeszcze dotąd, lubo i zakochanym nie chce się już dziś takiej nikłej zabawki.

W drugie święto wielkanocne rozpoczyna się zabawa na bardzo starym obyczaju oparta. Zowie się ona „Śmigust“ — a Łukasz Gołębiowski tak o niej pisze w swem dziele: *Śmigust* albo *Śmirgust*, zwany także *dyngusem*, jest to podarunek, który w drugie święto wielkanocne dają. Takim upominkiem bywają zwykle kwiaty. *Haur* powiada: Damom po kolędzie, po śmirguście, różą kawaler przysłużyć się może. Przytem chłopcy z dziewczętami wodą z nienacka się leją. Była to swawola powszechna w całym kraju między pospólstwem i znaczniejszemi. W poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, we wtorek i inne dnie następne kobiety mężczyzn. Przeciągano to czasem aż do zielonych świątek. Oblewano się rozmaitym sposobem. *Amanci* lub grzeczniejsze osoby chcąc tę ceremonię odprawić bez przykrości, a nawet z przyjemnością, skrapiali lekko różaną lub inną pachnącą wodą, po ręku, czasem po gorsie małą jaką sikawką albo z flaszeczki. Ci, którzy swawolę nad wszelką dyskrecyą przekładali, oblewali i damy wodą prostą, chlustając garnkami, śklenicami lub dużemi sikawkami prosto w twarz, albo od nóg do góry. Gdy się rozhulała kompania, panowie i dworzanie, panie i panny, dnia swojego nie czekając, leli jedni drugich ze wszystkich naczyń, jakich dopaść mogli, a hajducy i lokaje cebrami donosili wody. *Kompania dystyngwowana* czerpając od innych goniła się, oblewała od stóp do głów tak, że wszyscy zmoczeni byli; stoły, stołki, krzesła, kanapy, łóżka i wszystko poobléwane, a podłoga cała schlustana. Gdzie taki *dyngus* u młodego małżeństwa miał być odprawiony, pouprzątano wszystkie meble kosztowniejsze, sami przebierali się w suknie najskromniejsze, którym woda nie wiele, albo nic wcale nie szkodziła. W swywoli tej było często bardzo wiele niedyskrecyi. I dla tego Krzysztof Opaliński karci te nadużycia surową a dowcipną satyrą.

Dla swywolnych bowiem „największa była rozkosz przydybać jaką damę w łóżku; przytrzymana przez silnych mężczyzn i w koszulce tylko, nie mogąc się wyrwać, musiała pływać w powodzi. Pamiętne tego niebezpieczeństwa, w ten dzień wstawały jak najraniej, albo jak najmocniej zawierały pokoje sypialne.“

Bywało nieraz, że zlana jak myszka panienka jaka, lub też młoda mężatka, a jeszcze zimną wodą, dostała febry; nie zważano bynajmniej na to, byle się dosyć stało powszechnemu zwyczajowi.

Dyngusy odprawiały się i po miastach pomiędzy poufałymi.

Na wsi parobcy łapali dziewki, które się wtenczas jak mogły ukrywały, złapaną wlekli do stawu, albo do rzeki, tam ją wziąwszy za nogi i ręce, wrzucili, albo włożywszy w koryto przy studni lali wodą póki im się podobało. Po ulicach młodzież czatowała z sikawkami i garnkami na przechodzących znajomych, często jednakże przez pomyłkę nieznajomym się dostawało.

Początek tego obyczaju wywodzą dwojako. Jedni mówią, że pochodzi z Jerozolimy, gdzie schodzących się i rozmawiających o Zmartwychwstaniu Chrystusowem, żydzi wodą z okien oblewali dla rozpędzenia z kupy i przytłumienia takich powieści.

Drudzy utrzymują, że dyngus ma początek od wprowadzenia wiary świętej do Polski, a szczególniej do Litwy, kiedy nie mogąc wielkiej liczby chrzcić pojedynczo, napędzali tłumy do wody, w niej nurzali, albo stojących na brzegu, tąż obficie skrapiali.

Niemiec pewien wywodząc śmigust od wyrazu: *Schmackostern* powiada, że tym obyczajem młodzież, szpicrucikami zacina po nogach i woła: *Schmackostern! Schmackostern!* — z tego też miało się urobić szmigust. Wywód ten jednak przypominający studya zaciekłych filologów, którzy początek wyrazu *but*, tłómaczą tem, że kształt buta jest do litery *u* podobny, ma tyle w sobie prawdy co wszystkie te etymologiczne przypuszczenia, na zasadzie grymasu lub fantazyi oparte.

Podarunek wielkanocny zwał się także *wykupem*; bo chcący uniknąć oblania mógł się był wykupić jakim datkiem. Wykup należał do wieczornych zabaw w święta wielkanocne. Przy nim zachowanym bywał obyczaj starożytny, o którym Gołębiowski znów tak pisze: Dziewczęta najprzód niosąc przed sobą wierzchołek sośniny, przystrojony różnemi błyskotkami, wchodzą po kolei do domów, nucą stósowne piosnki i zbierają podarki. Potem dorośli mężczyźni z kogutkiem, pokazują rozmaite zabawy, i pozyskują część jakiejś żywności spożytkowanej na święta. Wieczorem łączą się te oba grona i następują tańce, biesiada.

Chodzą po wykupnie (śmirguście) i studenci ubożsi ze szkółek wiejskich, prawią oracye wierszem, donosząc nowinę o Zmartwychwstaniu Pańskiem, a kończą je słowy:

A ja tę nowinę do państwa wnoszę,
I o wykup proszę.

Przypominając zaś o podarunku śpiewają:

Przyszedłem tu po śmiguście,
Co mi dacie, w torbę włóżcie.

Dawano im kilka jaj farbowanych w brezylii, *piskami* i *pisankami* zwanych.

Trzeciego dnia świąt wielkanocnych istnieje od dawnych czasów, ale tylko w Krakowie, uroczystość narodowa nazywana *Rękawką*. Uroczystości tej podstawą jest droga pamiątka miłości i wdzięczności narodu, w których uczuciu usypaną została mogiła dobremu i sławnemu królowi Polski, i to własnemi jego poddanych rękami. Pamiątkę tę obchodzono jeszcze przed zaprowadzeniem wiary chrześciańskiej do nas, ale potem do pogańskiego obrzędu przyłączył się charakter chrześciański. Jest obok kopca Krakusa kapliczka. W trzeci dzień świąt wielkanocnych uroczyste w niej bywa nabożeństwo. „Z rana lud wiejski licznie się zewsząd gromadzi, i dzień cały tam obozuje. Koło trzeciej z południa wszystko prawie co żyje w tej stolicy dawnej, spieszy na oddanie popiołom założyciela wiecznystej czci i hołdu. Dzień zwykle bywa pogodny. Mnóstwo powozów, tysiące pieszo idących ugina most na Wiśle [1]), okrywa potem całe wzgórze Krzemionek i mogiłę Krakusa. Nic bardziej zachwycającego, nic bardziej przemawiającego do serca znaleść nie można. Wesołość prosta i niewinna jaśnieje na twarzy wszystkich. Przy mogile Krakusa nie ma różnicy stanów, wszystko bez ładu zmięszane, zdaje się przypominać, że za owych czasów błogich równość i szczerość panowała, że nie znano wyższych, tylko przez wyższość w cnotach. Bywały dawniej w użyciu rozmaite zapasy ludu i młodzi szkolnej na palcaty, (fechtunek — ślad to może igrzysk pierwotnych), z których nie jeden powracał uszkodzony — dla czego zniesiono je też później. Dziś tylko jeden zwyczaj dość zabawny istnieje. Na stoku góry widać rój uliczników biednych krakowskich uganiających się za chlebem, bułkami, które im z góry publiczność wśród śmiechu i zabawy rzuca. Że wśród tego współubiegania się o łup, trafiają się bitki i uszkodzenia, domyślać się należy.

Zwyczaj ten jednakże odnośnie do przeszłości bardzo się nam blado dochował.

Pierwej Córki.

(Obrazek wiernie zdjęty z natury).

I.

W pięknym dworze w Trzyżowie mieszkała matka z trzema córkami. Matka wdową, ale jeszcze czerstwa i ładna, bo wygody życia i zamożności najlepszemi były na jej twarz mastyksami. Pani Karolina Sędzimirska liczyła 37me lato. A najstarsza jej córka miała już siedmnasty roczek, i do mamy zupełnie była podobna; imię jej było Zofia. Młodsza od niej o rok Paulinka przypominała nieboszczyka tatę, a najmłodsza piętnastoletnia Femcia zupełnie do żadnej z swych sióstr nie była podobną. O przeszłości pani Karoliny trzeba wiedzieć parę szczegółów.

Pani mama wczas wydana za mąż za uczciwego Sędzimirskiego jeszcze przed rokiem 1830, wyuczona zbytków i przesady w rodzicielskim domu, gdzie mało bardzo o należyte dbano wychowanie, nie kochała tą serdeczną macierzyńską miłością swoich córek, jaka winna serce każdej matki ogrzewać, ale dopóki były maleńkie, pieściła się niemi jako miłemi zabawkami, lalkami, które jej miło było ustroić modnie i elegancko, któremi jej miło było pochwalić się w miasteczku, w kościele lub w sąsiedztwie, jako wedle modnego świata edukowanemi i prowadzonemi dzieciakami. Nigdy nie pobłogosławiła ich prawdziwej matki miłością, i o ich wykształcenie serce niedbała wcale. Pani mama pobawiwszy się do woli swemi ładniutkiemi laleczkami, oddawała je w ręce bony Francuzki, mówiąc, że już dosyć tej uciechy, i potem obchodziła się bez nich i dzień cały i dwa i trzy dni nieraz nawet. Zwyczaj to ładny! któżby się tam poświęcał na słuchanie pisków i głupiego szczebiotania niedorosłych pisklątek! Pan Sędzimirski umarł w r. 1833, w pięć lat po zawarciu ślubów małżeńskich z panią Karoliną. Umarł poświęceniem się dla najświętszej sprawy, żałowany od całego koła swoich braci towarzyszy, z miłością w sercu dla ojczyzny, i z wiarą w jej przyszłość i zbawienie. Umierając błogosławił nieobecną małżonkę i troje maleńkich dzia-

[1]) Opis sięga czasu, w którym jeszcze między Krakowem a Podgórzem na Wiśle był most zwodzony, drewniany.

tek, które mało co widział za życia. Brat jego Aleksander i przyjaciel pana Feliksa (męża Karoliny) Antoni Zemon, przyjechali z żałobną wieścią skonu do dworu pani Karoliny w Trzyżowie. Krótkiemi łzami opłakała młoda i piękna wdowa, której w żałobie było bardzo do twarzy, swego zacnego małżonka, i poubierawszy dzieciaki swoje czarno, wyjechała z niemi do Warszawy. Edukacyą dorastających panienek powierzyła bonie francuskiej i guwernantce, sama zaś smutne dni swego wdowieństwa wśród przyjaciół i wesołych uciech spędzała. Pani Karolina była piękną, była bogatą i wcale nie starą; nie dziwota przeto, że nie odpędzała od siebie często nadbiegającej myśli, oddania komuś drugi raz swojej ręki. I tem bliższą jej była ta myśl, i tem bliższą swego urzeczywistnienia, że właśnie ów zwiastun śmierci nieodżałowanego w narodzie męża, ów pan *Zemon* piękny i sławny, wielce się wdziękami młodej wdowy zajmował.

Pani Karolina miała wiele przyjemności w rozmowie z panem Zemonem; jego dowcip i piękna w intelligencyjnym świecie pozycya, bardzo protekcyjnie przemawiały do jej serca za nim. Pan Zemon przebywający ciągle w Warszawie, bywał codziennym gościem w domu pani Karoliny, a świat, a ludzie i warszawskie plotkowskie i fabulickie, nieodstępowały pod żadnem zaklęciem od powziętej raz propozycyi roznoszenia wieści o wkrótce nastąpić mającym ślubie pana Zemona z panią Karoliną. Lata płynęły jednak szybko, a ślubu jak nie było tak nie było. Pokazało się w końcu, że szanowny i urodziwy konkurent nie był tak skory do żeniaczki, jak się to wydawało na oko, i że nareszcie po trzech latach namysłu, przysiąg i projektów, zważywszy ile z majątku pani Karoliny po dziale familijnym dla niej samej przypadnie, i poznawszy się przy końcu swych obliczeń z milionowym posagiem pewnej, brzydkiej nawet panny, obrócił się na pięcie, i zwinął przyjacielską chorągiewkę, znikając niespodzianie z horyzontu warszawskiego. Pani Karolina po stracie Zemona płakała bardziej niż po śmierci swego małżonka i odtąd dopiero smutno żyć zaczęła. Serce jej puste i żadnych szczerych uczuć nie znające, nie kochało wprawdzie mniemanego kochanka, ale przyzwyczaiło się do niego, a nadewszystko jego pani pozwoliła wmówić w siebie prawdziwe i gorące zajęcie się człowiekiem, który nie jej miłości, ale własnej, i jej dumie umiał przyjemne palić kadzidła. Zniknięcie Zemona osierociło panią Karolinę. Warszawa, ni przyjaciółek pociechy nie utuliły jej w tęsknocie. Pojechała na wieś. Samotność i dorastające córki były tu znowu dla niej nowym ciężarem i trudem. Znieść ich nie mogła. Gdyby to przynajmniej z dawnego wychowania zostały jej były takie cnoty: jak zamiłowanie do książek, do pracy... pociecha w modlitwie itp., toby jeszcze znośniejszą była dla niej teraźniejsza dola, ale kiedy tego wszystkiego puste jej serce nie przyjęło w siebie, kiedy pani Karolina nie domyślała się nawet ani jednego ze swych obowiązków, które wykonywając znalazłaby na swoje nudy i na swą tęsknotę lekarstwo.

Od śmierci męża upłynęło lat 10. Pani Karolina jednakże nie zwiędła, bo przykra tęsknota jej duszy wypisała tylko na jej pięknej, bielutkiej twarzy, wyraz niezadowolenia grymaśny, który nieraz tak wiele modnych dodaje wdzięków kobiecie.

Nim zaś w naszej powiastce dojdziemy do chwili, od której właściwie ją rozpoczynamy, musimy tu pokrótce opowiedzieć historyą ośmiu lat wdowieństwa pani Karoliny, spędzonych w Trzyżowie od czasu jej powrotu z Warszawy.

Gospodarstwem w Trzyżowie, cichą i niewidzialną opieką nad dziećmi nieboszczyka Feliksa, zajmował się od jego śmierci brat Aleksander, wierny przyjaciel swej bratowej i drugi ojciec jej dzieci. Nie wiemy z pewnością... ale tak wieści niosły, że i jego starania przyczyniły się po części do niedojścia ślubów pani Karoliny z Zemonem, bo pragnął podobno koniecznie, aby ta w gruncie dobra kobieta, nie żałowała później lekkomyślnej krzywdy, czci i pamięci męża swego wyrządzonej, i wierzył, że ona jest jeszcze w stanie opamiętać się w swych wadach i słabostkach, i że będzie zdolną kiedyś później być dobrą obywatelką i matką. Wierzył w to pan Aleksander, i podobno przeszkadzał ślubowi Zemona. A lubo jego sprawy wielce tajemniczo się odbywały, pani Karolina instynktowo nie lubiła brata swego męża, i tylko z potrzeby i z bojaźni, aby na nią ciężar zarządu wsi i opieki nad dziećmi nie spadał, trzymała go u siebie, na oko jednak wielką cześć, i wdzięczność mu okazując. Pan Aleksander używał różnych sposobów do rozerwania nudzącej się i tęskniącej bratowej. Znosił książki, spraszał gości, wynajdywał przejażdżki w piękne okolice, podsuwał pięknie rozwijające się córeczki, ale to wszystko nic a nic nie pomagało. Książki nie rozcięte wracały do rąk tego, który je przynosił, goście ziewający, choć najedzeni i napojeni opuszczali jej progi, najcudniejsze okolice nasze nie były dla niej czem innem, jak tylko martwą i niemą naturą, a dzieci, te miłe trzy aniołeczki, miast rozweselić, tak ją zawsze unudziły i umęczyły, że z gniewem wypędzała je z swego pokoju. Nudy i przesyt, te dwie okropne trucizny, cały spokój duszy i całe szczęście człowieka pożerające, wydawały się jej okropnemi karami za tak prędką niepamięć o mężu, i tak małą wdzięczność jego bratu za trudy i przyjaźń najszczerszą.

Okoliczność jedna zmieniła stan rzeczy w Trzyżowie. Okoliczność ta, tem większej godna uwagi, że nas do właściwego tematu naszego opowiadania przybliża.

(C. d. n.)

LISTY FIZYKALNE,

przez

Dra Feliksa Strzeleckiego.

(Zob. Nr 14 i 16).

List trzeci.

O ciężkości.

Spostrzegłaś pewnie nieraz kochana siostro! że jabłko urwawszy się od jabłoni spada na ziemię. Podobnie też i każde inne ciało, gdy je nie podpiera jakaś podstawa, lub nie zatrzymuje inna jaka przeszkoda, upada zawsze na ziemię. Dążność tę do spadania ku ziemi objawiają także ciała, gdy im przeszkody jakie nie dozwalają spadać, albowiem cisną na podstawę, na której leżą, lub ciągną rzecz, na której są zawieszone. Dążność tę do spadania ku ziemi, wszystkim ciałom właściwą, nazywamy *ciężkością*.

Zarzucisz mi może tutaj kochana siostro! że mgły i obłoki, które przecie także są ciałami, niczem nie podtrzymywane, wiszą nieraz w powietrzu, a nawet podnoszą się czasem do znacznych wysokości, że balony powietrzne unoszą się do góry, że dym wychodzący z kominów, wbrew prawu ciężkości idzie zwykle do góry. Atoli odpowiem ci, że i te rzeczy są ciężkie, a że mimo tego utrzymują się w powietrzu, lub nawet podnoszą się w niem, to ztąd pochodzi, że je coś podtrzymuje lub nawet pcha do góry. Tem coś jest powietrze otaczające, które gdy jest równie gęste lub gęściejsze,

jak rzecz jaka w niem się znajdująca, rzecz tę chociaż ciężką podobnie podtrzymuje lub nawet pędzi do góry, jak to czyni woda, gdy w nią włożymy kawałek lekkiego drzewa. Na wysokich górach, gdzie powietrze znacznie rozrzedzone, nie utrzymują się mgły w powietrzu i nie podnosi się dym. Nawet u nas podczas upałów, gdy słońce powietrze znacznie rozgrzeje, i w skutek tego rozrzedzi, dym często nie będzie w stanie podnieść się w kominie i zapełni kuchnię. Lecz kucharki nasze błądzą mówiąc, że w tym przypadku słońce przygniata dym. Przyczyną zjawiska tego jest ciężkość dymu, który nie będąc dostatecznie partym rozrzedzonem powietrzem, upada ku ziemi.

Kierunek, w którym ciała w skutek ciężkości spadają lub dążą ku spadaniu, nazywamy *pionowym;* kierunek zaś, który jest prostopadłym do pionu, *poziomym.* Jest zaś kierunek prostopadłym do drugiego kierunku wtenczas, gdy przechodzi przez jakikolwiek punkt tego drugiego kierunku, i jednakowo jest nachylony do obydwóch części tego drugiego kierunku w owym punkcie się poczynające. Podobnie nazywamy i płaszczyznę, pionową, jeżeli w niej leży kierunek pionowy, poziomą zaś, jeżeli kierunek pionowy przebijając płaszczyznę jednakowo jest nachylony do wszystkich linij, które w tej płaszczyznie leżą, i od owego punktu przebijania wychodzą. Kierunek pionowy okazuje nam nitka, która jednym końcem stale jest połączona z małą kulką metalową, a którą drugim końcem w ręku trzymamy, gdy nitka ta z kulką przyjdzie do spoczynku. Kulka ta bowiem napnie nitkę w kierunku, w którym upaść usiłuje. Prosty ten przyrząd, pionem zwany, służy zatem do rozpoznania, czy przedmiot jaki, np. mur, ma położenie pionowe czy nie. Płaszczyznę zaś poziomą przedstawia nam powierzchnia wody w naczyniu obszernem spokojnie stojącej. Cząsteczki bowiem wody na tej powierzchni leżące, a na wszystkie strony z łatwością poruszalne, układają się w skutek ciężkości tak, żeby kierunki pionowe były prostopadłemi do tej powierzchni.

Lecz, cóż jest za przyczyna ciężkości ciał? Gdybym ci powiedział, że przyczyną tą jest przyciąganie ziemi, siła ciężkości, którą ziemia wywiera na wszystkie ciała, to będziesz może, jak wiele ludzi, wytłómaczeniem tem zadowoloną. Ale proszę cię zastanowić się głębiej nad tem wytłómaczeniem, a przyznasz, że ono jest tylko pozorne. Cóż bowiem jest ta siła ciężkości? Oto wyraz ten nic dokładniejszego nie oznacza, jak wyraz: przyczyna ciężkości. W rzeczy samej nie znamy przyczyny ciążenia ciał, i tę nieznaną co do istoty swojej przyczynę, która oczywiście od ziemi pochodzić musi, gdyż do ziemi ciążą ciała ziemskie, nazywamy *siłą ciężkości.* Podobnie też i w innych przypadkach, gdy nam nie jest wiadoma przyczyna jakiegoś rodzaju zjawisk, nazywamy nieznaną tę przyczynę siłą, określając ją bliżej nazwą zjawisk, których jest przyczyną np. siła elektryczna itp.

Siła ciężkości, jaką ziemia wywiera, nie będzie oczywiście pochodzić wyłącznie tylko od pewnej jakiejś części ziemi. Spostrzeżono w istocie, że w pobliskości wielkiej góry, gdzie zatem znaczna część ziemi podnosi się wyżej, kierunek pionowy nachyla się ku górze, co oczywiście przyciąganiu przez górę wywieranemu przypisać należy. Każda zatem cząsteczka ziemi przyciągać musi każdą cząsteczkę materyalną. Cząsteczka ta materyalna przyciągana od każdej cząsteczki ziemi, objawiać przeto będzie dążność poruszania się ku tej cząsteczce ziemi, około której cząsteczki przyciągające równo są rozłożone. Tą cząsteczką jest środek ziemi, gdyż możemy przypuścić przynajmniej w przybliżeniu, że około niego cząstki ziemi równo są rozłożone. Ziemia zatem przyciąga każdą cząstkę materyalną ku środkowi swemu, i kierunki pionowe na wszystkich miejscach ziemi, dostatecznie przedłużone schodzą się w środku ziemi. Tym sposobem nic spaść z ziemi, tj. oddalić się od niej na zawsze nie może. Strzelano kulami armatniemi wprost do góry, ażeby zobaczyć, dokąd też polecą; atoli zanim minuta upłynęła, spostrzeżono, że z wielką chyżością powracały do ziemi. Ponieważ wszystkie kierunki pionowe schodzą się w środku ziemi, który od powierzchni jej oddalony jest blisko o 860 mil, przeto możemy kierunki pionowe wychodzące z bliskich do siebie punktów powierzchni ziemi uważać za równoległe do siebie, gdyż przecinają się dopiero w tak bardzo oddalonym punkcie. *(C. d. n).*

TEATR.

Skorośmy od czasu do czasu o naszym teatrze donosili, wypada nam nareszcie zrobić wzmiankę o jego przedostatniem i ostatniem przedstawieniu w tym kursie.

Przedostatnie przedstawienie było w niedzielę. Grano sztukę zupełnie nową p. t.: „Starosta wieluński“ przez hr. Starzeńskiego. Sztuka ta napisana jakby umyślnie dla tendencyi, głównie jej treść stanowiącej, zdradzająca jednak tu i owdzie połyski siły dramatycznej autora, grana była wcale dobrze, a mianowicie też p. Królikowski w roli kasztelana, p. Janowski i p. Benda w ro'ach dwóch braci, przejęci rolami swemi, oddali je z wielką siłą i prawdą.

We wtorek było przedstawienie pożegnalne. „Cudzoziemczyzna“ Fredry wypadła bardzo dobrze. P. Królikowski był w całej tej humorystycznej, choć o dziwnym morale sztuce, nieporównany, a p. Wisłocki w roli Jakóba z całą serdecznością staropolskiego *sługusa* umiał swój charakter bardzo artystycznie przeprowadzić. Scena, w której Jakób płacze na siwiejącego panicza, długo zostanie w naszej pamięci. Druga sztuczka: „Wesele na Pocieszce“, będąca lichym i niezręcznym obrazkiem, graną też była nie źle — chociaż śpiewy naszych artystów i artystek i do takiej *opery* nie dorosły.

Pożegnalne *tableaux*(??), w którem więcej na chęci niż na wykonanie zważamy, nie miało właściwie żadnej myśli, ani żadnego charakteru. Równie też niezręczne wiersze pożegnalne można było trochę ogładzić. Jeden p. Benda umiał przemówić do serca wszystkich tańcem i śpiewem, i serdecznem swojem pożegnaniem. Z tem wszystkiem przyjęła publiczność nasza i niedoborowe pieśni pożegnania artystów, i pożegnała ich z życzeniem dobrego powodzenia i szczęśliwego powrotu. My im za trud i pracę dziękując, życzym na drogę: „Szczęść Boże!“ i oczekujem na jesień.

Wiadomość literacka.

W Warszawie wyszedł nakładem Dzwonkowskiego „Noworocznik illustrowany dla Polek na rok 1862.“ Znajdują się w nim artykuły większego rozmiaru: „Niewiasty polskie w XVI w.“ przez K. Wł. Wójcickiego; „Fragment“ J. I. Kraszewskiego; „Marya Leszczyńska“ monografia historyczna, (z portretem Maryi Leszczyńskiej) Edwarda Lubowskiego (przedruk z *Niewiasty*); „Życie w naturze“, szkic Józefa Łepkowskiego; „Elekcya Anny Jagiellonki“ (z portretem Anny Jagiellonki), przez Julj. Bartoszewicza. Powieści są pióra pani Eleonory Ziemięckiej, Borkowskiej i innych. Poezye Wł. Syrokomli, Deotymy, Aleksandra Grozy, Maryi Ilnickiej, Teofila Lenartowicza, Seweryny Pruszak, Wład. Anczyca, Grajnerta i innych. Oprócz tego artykuły estetyczne, gospodarskie i naukowe.

Od Redakcyi.

Z powodów od Redakcyi niezawisłych musieliśmy na jakiś czas przerwać powieść: „Oczy Maryni“ — za co Szanowne Czytelniczki najuprzejmiej przepraszamy.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.